

Laskowski Kazimierz

DLA ZABICIA CZASU

AKTOR NA ZAGONIE.
HUMORESKA WYKROJONA Z ŻYCIA

Z roku na rok zrywał Mordka Maliner z tradycjami placu Bankowego, ulegając wpływom asymilacji. Nabywszy pierwszą kamienicę na Lesznie, przedewszystkiem zmienił krawca; w lat parę po zwycięskiej walce licytacyjnej o trzechpiętrową posesję w "Alejach, " na protokule Towarzystwa kredytowego miejskiego podpisał się już Maurycy Maliner, a w chwili, gdy ukończył przebudowę trzeciego domu na "Krakowskiem," gdzie w lokalu oświetlonym elektrycznością otworzył "biuro handlowe, " z dawnego Mordki,

późniejszego Maurycego Malinera, pozostał zaledwie ślad nieczytelny na szyldzie, mającym w zmniejszeniu wygląd następujący.

MORDKA MALINER
BIURO HANDLOWE
pod firmą
MAURYCY MALINOWSKI.

Dodać jeszcze dla ścisłości wypada, że górną część szyldu zasłaniał letnią porą rąbek markizy; że zaś zimą, na mrozie, czytelnictwo uliczne nie kwitnie, przeto drobne wspomnienie przeszłości na znaku firmowym było przez rok okrągły dla szerszego ogółu niedostrzegalnym.

Na takim powierzchownemu zaznaczeniu zmiany przekonań nie poprzestawał jednak pan Maurycy Malinowski.

Noblesse oblige! nazwisko obowiązuje.

Wpadał więc do Wróbla na "parówki, " do Brajbisza na "wołową z rożna" lub flaki,

bywał stale na premierach w "Rozmaitościach," popierał pana Ludwika w "Małym, "

śpiewaczkom włoskim posyłał kosze kwiatów, ale w sekrecie przed żoną Ame-

lią z Taubenfussów, osobą wielce zazdrosną, zdenerwowaną, którą rok rocznie wraz

z dziećmi wysyłał na letnie mieszkanie do Mrozów.

Jako mąż dobry, a ojciec czuły, robił czasem rodzinie niespodziankę, biorąc dla

całego domu łożę. Bywał także u Krywulta i w "Zachęcie," jako członek zwyczajny,

posiadający akcyę pięciorublową, dającą prawo bezpłatnego wejścia z rodziną.

Można powiedzieć, że kochał się wsztukach pięknych, bo latem uczęszczał stale do

"ogródków," gdzie zawiązał liczne znajomości, rozumie się, że w charakterze słomianego wdowca.

Po za tem, wzięwszy kilkanaście lekcyj konnej jazdy, wynajmował czasami pan Maurycy rumaka z tatarsalu i wyjeżdżał na spacer w aleje, raz nawet dotarł do Otwocka, gdyż pani Amelia, sprzykrzywszy sobie Mrozy, tutaj willę na lato wynajęła.

O pokarm umysłowy dbał również. Trzymał wprawdzie jak za malinerowskich czasów Gazetą Handlową, ale wyłącznie

dla biurowego użytku; dla żony i dla siebie oprócz pism i illustrowanych zaprenumerował obydwie Kuryerki, wczytując się pilnie w rubrykę "licytacje," jako łączącą w sobie utile z dulci. Było to na wiosnę. Pan Maurycy, wyszedłszy z giełdy, wstąpił na "czarną" do Loursa w Saskim ogrodzie, gdzie miał go oczekiwać dawny znajomy, faktor, stręczący mu kupno willi w Otwocku. Interesy szły dobrze, zarobił na "lilpopach" kilka tysięcy rubli, chciał Amelii zrobić niespodziankę. Stać go na to! może sobie pozwolić! Zresztą i willa nie jest tak złym interesem, zwłaszcza, gdy kto potrzebuje żonę z dziećmi wysyłać na letnie mieszkanie. Zaczął obliczać.

Da ile? Pięć... sześć tysięcy rubli, to prawda, ale nie będzie
płacił komornego,
odnajmie parę pokojów, zawsze będzie jakie pięć procent od
kapitału... a co
wygoda — to wygoda. Przytem nie wypada, żeby pani
Maurycowa Malinowska
wynajmowała mieszkanie. Co innego dawniej...

ale teraz... może mieć nie jedną... ale dwie... trzy wille...
Zdecydował się kupić.
Ale faktor, jak na złość, nie przybywał. Pan Maurycy czekał,
niecierpliwił się,
wypił już dwie filiżanki kawy, w końcu z nudów wziął
Porannego do ręki i zaczął
czytać.
Jak zwykle, rozpoczął od... "licytacyi," lecz zaledwie rzucił
okiem, drgnął
cały, prawie że skoczył z radości.
— To jak raz dla mnie! Może sobie teraz ten gałgan nie
przychodzić! — mruknął,
odczytując ulubioną rubrykę po raz wtóry.
Nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelnika, objaśnię
odrazu, że nie jakaś
sensacyjna wiadomość polityczna, lecz najzwyczajniejszy anons
tak zelektryzował pana
Maurycego.
Anons opiewał: "Folwark Malinowka, w powiecie radomskim,
gubernii radomskiej
położony, od stacyi kolejowej wiorst pięć, ogólnej przestrzeni
włók piętnaście,

sprzedanym będzie w drodze licytacji publicznej. Szacunek licytacyjny ,
rb."

— Niech dyabli wezmą wille! — mówił do siebie, czytając ogłoszenie po raz trzeci. — Malinowski... z Malinówki... Jak to ślicznie brzmi! Kupię dobra... kilka tysięcy rubli więcej, co to dla mnie znaczy! Dopiero się Amelka ucieszy... Malinowski z Malinówki... kupię... będzie letnie mieszkanie przez cały rok. Jak ma być szyk, niech będzie szyk. Ja tak lubię... Cała giełda będzie wiedziała! Malinowski z Malinówki... Aj! waj! Końcowy wykrzyknik, wypowiedziany już na cały głos, wyrwał się z piersi przyszłego dziedzica Malinówki z wielkiej radości. Zawstydział się pan Maurycy zbytniego ferworu i obejrzał się w około, czy kto nie posłyszał. Szczęściem, prócz chłopca, nikogo na sali nie było. Uspokojony zapłacił za kawę i nie czekając już na faktora, z gotowym projektem w głowie, pośpiesznie podążył ku domowi, powtarzając: — Malinowski z Malinówki... Malinowski z Malinówki... W drodze ułożył sobie, że żonie nic nie powie, aż po kupnie, a nawet jeszcze

później, jak się w nowym domu urządzi. Zamiast na letnie mieszkanie zawiezie ją wtedy wprost do Malinowki. Wyobrażał sobie radość i zdziwienie małżonki, gdy ta usłyszy od niego:
— Amelciu! to jest twoje letnie mieszkanie... To trochę lepsze, niż Mrozy, Otwock, niż własna willa nawet...
Młaskał z zadowolenia na samą myśl takiej niespodzianki. Wieczorem tegoż dnia, pod pretekstem ważnego interesu handlowego w Łodzi, pędził pan Maurycy pociągiem kolei Nadwiślańskiej w stronę Radomia. W parę dni wrócił rozpromieniony. Był dziedzicem, prawowitym dziedzicem Malinówki, utrzymawszy się na licytacji za sumę trzynaście tysięcy rubli. Według pierwotnego planu, starał się przed żoną zachować tajemnicę aż do lata. W biurze nakazał sekret, a Kuryerki, w których wydrukowano, że "pan Maurycy Malinowski z Warszawy nabył w gub. radomskiej dobra ziemskie Malinówka," zniszczył, aby przypadkiem tą drogą wiadomość do pani Amelii nie doszła.

Na giełdzie wieść o kupnie dóbr rozeszła się szybko. Zaczęto się dopytywać pana Maurycego o obszar, o las, o propinacyę... Nowy nabywca chętnie udzielał pytającym objaśnień, prosząc jednakże o sekret.

Zabezpieczywszy się w ten sposób, był pewien, że żonę on pierwszy i w stosownej chwili nazwie dziedziczką... Po głębszem jednak rozmyśle przyszedł do przekonania, że częste wyjazdy mogłyby obudzić w umyśle zazdrosnej połowicy podejrzenie, w następstwie nieprzyjemność domową; postanowił przeto wyjaśnić prawdę przed czasem, ale w sposób delikatny, aby zbytnia radość ujemnie nie oddziaływała na zdrowie pani Amelii. Sposób taki obmyślił. Zamówiwszy setkę biletów wizytowych z drukiem gotyckim, skoro mu z drukarni obstalunek odesłano, udał się natychmiast z paczką w rękę do pokojów żony. Pani Amelia siedziała właśnie na kozetce, zajęta czesaniem siedmioletniej Rózi. — Jak to dobrze, Moryc, żeś przyszedł — rozpoczęła, ujrzawszy wchodzą-

cego męża — chciałam właśnie wyjść z Rózią na spacer do Saskiego, potrzebuję pieniędzy.

— Ty potrzebujesz cicho siedzieć, Anielciu — przerwał pan Maurycy. — Jak ja tobie coś powiem, to się z miejsca nie ruszysz... Coś bardzo ładnego...

— Ciekawam, co ty mi powiesz, Moryc! Może "wagony" poszły w górę?

— Nie zgadłaś, aniołku!... Jeszcze coś lepszego...

— Wzięłeś dobrą dostawę?

— Nie! nie! To jest cała niespodzianka; niespodzianka dla ciebie...

— Kupiłeś na licytacji w lombardzie precyzoza? No, powiedz, Moryc! — spytała z przymileniem pani Amelia.

— I to nie. Jeszcze lepsze...

— Już wiem! Willę w Otwocku?

— Nie willę... Kupiłem... ale co? no, powiem, jak Amelcia da słowo, uczciwe słowo, że nie będzie chciała tego wiedzieć, póki ja jej sam nie pozwolę...

— Dam słowo. Dam dwa słowa...

— Jak Rózię kochasz?

— Jak Rózię Kocham!

— Jak Leosza kochasz?

— Jak Leosza Kocham!

— No, to słuchaj... kupiłem dla ciebie to...

Przy tych słowach podał żonie pan Maurycy paczkę biletów. Otworzyła pudełko, zajrzała do wnętrza i... o mało nie rzuciła podarkiem w twarz męża.

Szcęściem małżonek w porę dopowiedział:

— Czytaj, Amelciu! proszę cię, czytaj! Ciekawość przemogła pierwszy popęd

gniewu. Pani Amelia skierowała piwne oczy na karty wizytowe. Czytała... Nagle twarz jej się rozjaśniła.

— Moryc! co to jest? czy ja dobrze widzę?

— Ty dobrze widzisz, Amelcia.

- Obywatele ziemscy?!...
- Tak jest... czytaj! Amelciu, czytaj!
- Malinów... ka...
- Malinowscy z Malinowki!..
- Kupiłeś wieś! ja zawsze mówiłam, żeś ty jest poczciwy człowiek, Moryc!

Przy tych słowach pani Amelia rzuciła się mężowi na szyję.

— Kupiłeś wieś? — pytała z zawieszonymi na szyi męża rękoma.

— Dobra...

— Na licytacji?

— Na licytacji, Amelcia!

— Dużo dałeś?

Pan Maurycy wymienił cyfrę.

— Czy to dobry interes?

— Twój Moryc złych interesów nie robi — odparł z dumą małżonek.

— Słuchaj, Moryc! my pojedziemy zaraz!

— Amelcia! a gdzie słowo? gdzie dwa słowa? Leon i Różia!

— Ja nie wytrzymam.

— Ty wytrzymasz. Ty potrzebujesz zostać w Warszawie, do czasu, jak ja w

Malinówce wszystko urządzę.

— Dlaczego nie mam jechać?

— Amelcia! nie bądź sprzeczna! Po pierwsze, w Malinówce jest jeszcze kawałek

roboty ze dworem, z tapetami, z ogrodem. Ja chcę tobie zrobić cacko! Po drugie,

jak ja będę siedział na wsi, ty potrze-

bujesz pilnować tutaj interesu. Dam ci prokurę...
Ułagodzona prokurą małżonka, zgodziła się wreszcie
dotrzymać słowa, zastrzegłszy
sobie jednak, aby wyjazd do dóbr miał miejsce nie później, jak
za dwa miesiące,
co pan Maurycy najsolenniejszym przyrzekł. Nastąpił tedy podział
pracy. Pani Amelia
pozostała w Warszawie, na straży biurowych interesów, a pan
Maurycy wyruszył do
Malinówki, zaopatrując się w niezbędne dla obywatela
ziemskiego przedmioty.
Kupił sobie przede wszystkim długie buty, ostrogi, czapkę z
daszkiem
"maciejówkę," rejestra gospodarskie od Szustra i kilka
podręczników
gospodarskich. Tapety, meble zamierzał sprowadzić później,
po zbadaniu gruntu na
miejscu.
Siedział już nowy dziedzic w Malinówce od tygodnia, z
każdym dniem w coraz
gorszy wpadając humor. Malinówka, choć kupiona na
licytacyi, nie była wprawdzie
majątkiem zniszczonym, wymagała jednak dość znacznych
wkładów. Potrzeba było
niektóre budynki poprawić, inwen-

tarza dokupić, grodzić ploty, a i dwór, choć względnie bardzo
dobry, gruntownie

odrestaurować. Zabrał się do tego ochoczo pan Maurycy, nie
szczędząc pieniędzy.

Ale nie tyle pieniężny wydatek gryzł go i trapił, co służba,
która dla nowego

pana nie знаła winnego uszanowania. Czapkowano mu
wprawdzie w oczy, ale z boku
drwiono i szydzono z każdej jego dyspozycji.

Na własne uszy słyszał, jak fornale nazywali go... przecherà!
skórczarzem!

Stary Pafnulski, ekonom, którego nowy dziedzic na miejscu
zatrzymał, okazał się
człowiekiem bez żadnej energii, nie umiał utrzymać służby w
subordynacji, sam
nawet dawał zły przykład, rozpowiadając przeróżne historie o
pochodzeniu pana

Maurycego, kończące się zwykle pogrózką:

— Byle się tylko jakie takie miejsce trafiło, to ja tam u tego
licytanta popasać
nie będę.

Nie było prawie dnia, żeby pana Maurycego jakaś
nieprzyjemność nie spotkała.

Odprawił kilku zuchwalców... Maćka for-

nała, który się go spytał: "czy teraz będzie im wolno świnie
chować?" nawet

poturbował; stangretowi, za wysmarowanie smalcem
chomont, rubla z pensyi

wytrącił, lecz to wszystko nie wiele pomagało.

Ponieważ w przekonaniu pana Maurycego wina
niesubordynacji służby ciążyła

głównie na Pafnulskim, postanowił go przy pierwszej lepszej okazji oddać, a

postarać się o innego, więcej energicznego rządcę.

Traf, jak to zwykle bywa, przyśpieszył, może nawet za szybko, wykonanie tego

postanowienia.

Pafnulski, myśliwy zawołany, idąc w pole, brał zawsze z sobą od przypadku

pojedynkę. Zdarzyło się raz, że gdy pan Maurycy wyjechał konno do pługów,

dozorujący Pafnulski strzelił do przelatującego jastrzębia.

Huk strzału spłoszył wierzchowca. Skoczył, dał kilka szczupaków po świeżo

zoranej roli... Pan Maurycy puścił cugle, czapka "maciejówka" spadła mu z głowy,

chwycił się oburącz grzywy, lecz mimo

wysiłeków, nie mogąc utrzymać równowagi, runął jak długi w bródę.

— Ha! ha! ha! — zaśmieli się oracze,

i kilku, rzuciwszy pługi, pobiegło za cwałującym bez jeźdźca wierzchowcem.

Pan Maurycy nie poniósł wprawdzie szwanku, ale taka kompromitacja doprowadziła

go do ostatniej pasyi.

— Jak pan śmiesz — krzyknął do Pafnulskiego, podniósłszy się z upadku — polować

w czasie zakazanym! Jak pan śmiesz strzelać, kiedy ja jadę!

Nieco przestraszony Pafnulski, chciał się tłumaczyć początkowo, ale widząc, że

zaperzony dziedzic nie da mu przyjść do słowa, rozsrożył się również.

— To nie trzeba jeździć, jak kto nie umie — odrzekł podniesionym głosem.

— Co! pan będziesz mi uwagi robił! Wynoś się! Niech cię moje oczy nie widzą! —

krzyczał pan Maurycy.

— O, wielka rzecz! Proszę mi zapłacić do Świętego Jana, to pójdę, choćby zaraz O taką służbę nie stoję...

— Bardzo dobrze! będziesz pan zapłacony i wyrzucony. Za pieniądze za-

wsze ludzi dostanie — pokrzykiwał dziedzic.

— Jeśli tak! to już idę... Jesteście świadkami, że mię dziedzic sam odprawił —

odparł ekonom, zwracając się do oraczy i zarzuciwszy strzelbę na ramię, ruszył ku domowi.

Na drugi dzień Pafnulski wyprowadził się na "bruk," do poblizkiego miasteczka, a

pan Maurycy pozostał na gospodarce sam jeden, bez pomocnika.

Szczęściem była to pora, w której pilnych robót gospodarskich niema, więc

zleciwszy polowym dozorowanie orki ugorów, pan Maurycy postanowił obyć się bez

ekonoma czas jakiś, póki mu się odpowiedni człowiek nie trafi. Swoją drogą

faktorowi obiecał sute porękawiczne, byleby mu kogoś godnego nastreczył. Żonie o

swych kłopotach nie donosił, licząc, że z czasem wszystkie trudności przełamie.

Już trzy tygodnie upłynęło od przyjazdu pana Maurycego, a dwa od wydalenia

Pafnulskiego. Restauracya domu postępowała dość szybko, a i w gospodarstwie szło jakoś szczęśliwie.

Była godzina trzecia po południu. Pan Maurycy, wyprawivszy osobiście fernali w

pole, siedział na murawie pod stodołami, aby choć z daleka doglądać orki, bo

"pańskie oko konia tuczy," gdy na drodze, prowadzącej ku stodołom, ukazał się

jakiś podróżny.

Szedł on prosto do dwom.

— To pewnie do mnie — pomyślał pan Maurycy.

— Hop! hop! — krzyknął.

Podróżny przystanął, obejrzał się i spostrzegłszy pana Maurycego, podbiegł z

nizkim ukłonem.

— Powitać pana dziedzica dobrodzieja! Pan dziedzic mię nie poznaje? Jestem

Alfons Wyżerko...

— Wyżerko? — mruknał pan Maurycy- — Istotnie... coś mi się przypomina...

— Alfons Wyżerko — powtórzył przybyły — artysta dramatyczny, tragik... Nie

z przypomina sobie pan dziedzic? W Bellevue... Felka... ta blondynka...

— Aha! aha! — podchwycił Malinowski. — Masz pan rację!
Teraz jestem

w domu. Pan grał w "Gasparonie" podestę...

— Właśnie! Wtenczas to było powodzenie... Felka, Zuzia.,
Jadźka... ja, Pękosz,
Barchański...

— Ale cóż pan tu robisz?

— To cała historia, panie dziedzicu! Przez tego łotra
Czynickiego człowiek się
znalazł nad przepaścią. Wywiózł towarzystwo na prowincye,
urządził klapę...

Zrobiliśmy "działówkę" — latało się jakoś jeszcze... ale nam
prymadonna drapnęła
do Pułtusza... Skandal, panie dziedzicu! skandal! Mieliśmy już
trzydzieści rubli

w kasie i trzeba było zerwać spektakl — opowiadał Wyżerko.

— A gdzież reszta towarzystwa? — spytał pan Maurycy.

— Rozjechało się wszystko. Dekoracye zafantowane, nawet
mój kostyum do Hamleta.

Człowiek został w tem, co na sobie...

— Ale cóż właściwie zamierzasz pan teraz ze sobą robić?

— Trudno zgadnąć, panie dziedzicu dobrodzieju. Los
człowiekiem ponieważ-

ra! Chcieliśmy... to jest ja i Tuńka... przypomina sobie
dziedzic dobrodziej?.,

ta, co grała rolę tytułową w "Niani," jechać z "monologami"
do Łży, do Opatowa.

Ale wobec zupełnego braku garderoby, porzuciłem ten zamiar. Teraz dążę do brata.

Jest w tych stronach ekonomem. Kiedyś to tam i człowiek znalazł się nieźle na

roli... Będę go wyręczał i przesiedzę do sezonu. A na lato chciałbym do

Warszawy...

— To brat pański ekonomem? — spytał pan Maurycy.

— Od niedawna... od niedawna, panie dziedzicu. Kiedyś gospodarowało się na

swojem... To jest ja i brat. Mnie sztuka pociągnęła, a on stracił. W tych

czasach nic dziwnego. Gospodarstwo... kłopotarstwo — tłumaczył aktor.

Pan Maurycy zamyślił się.

— Więc pan trochę umiesz gospodarować? — spytał po chwili.

— Jakże! uchowałem się przecie na wsi...

— To cobyś pan powiedział, gdybym go zrobił rządcą w Malinówce?

— Coby powiedział! Uważałbym

dziedzica dobrodzieja, za... za... swego wybawcę! za dobroczyńcę! Wdzięczność do

grobu... szacunek... poważanie — wygłosił z niskim ukłonem sługa Melpomeny.

— No! to biorę pana na próbę... Jak będzie dobrze, jeśli będę zadowolony... to zobaczymy.

— Opatrzność czuwała nade mną! — wybuchnął z przesadą Wyżerko. — Jak się tylko

dowiedziałem, że pan dobrodziej nabył Malinówkę, zaraz pomyślałem: trzeba tam wstąpić. Pan dziedzic zawsze popierał sztukę, to biedaka nie opuści.

— Żeby mi się tylko na panu nie zawiódł! Lubię ludziom pomódz...

— Nie zawiedzie się dziedzic dobrodziej! Będę pilnował dobra pańskiego, jak oka w głowie. Przecie to dla mnie nie nowość! Napatrzyłem się u brata...

— Nie tyle mi idzie o gospodarowanie, bo ja sam będę dawał dyspozycje, a pan potrzebuje tylko słuchać i wykonywać, ale chodzi mi o rygor, karność, subordynację. Tego właśnie w Malinowce brakuje. Ekonom, którego wypędziłem, rozpuścił służbę, jak bicz dziadowski. Trzeba

to wszystko naprawić. Ja krnąbrności i zuchwalstwa nie znoszę. Niech pan o tem pamięta.

— A ktoby to tolerował, panie dziedzicu? Kto? — potaknął aktor. — Jeszcze z chamami... Znam ja ich! Grywało się przecie w melodramatach, sztukach ludowych, "Emigracyi," "Czartowskiej Ławie," "Błązku opętanym" Znam ja ten ludek, tych poczciwych wieśniaków... Smaruj chłopca miodem... — To! to! to! — potwierdził pan Maurycy. — Ja sam, choć jestem liberałem, widzę, że trudno z nimi trafić do końca dobrocią.

— Zrobi się, zrobi, panie dziedzicu! Już ja ich wezmę za czuby! — upewniał aktor.

— Zatem zgoda. Teraz chodź pan ze mną do dworu, dam panu coś z mojej garderoby na tymczasem i spiszymy umowę dla porządku. Biorę pana na miesiąc, rodzajem próby.

Na drugi dzień, po opisanej rozmowie, pan Alfons Wyżerko, artysta dramatyczny, filar scen prowincjonalnych, objął

obowiązki ekonoma w Malinówce z pensją dwudziestu pięciu rubli na miesiąc i wiktem dworskim.

Już po paru dniach spostrzegł pan Maurycy, że nowy rządca widocznie nie zasypia

gruszek w popiele. Służba zrobiła się grzeczniejszą,

tytułowała go "wielmożnym

dziedzicem," lub "jaśnie panem," czapkowała o dziesięć

kroków. Jeszcze więcej

upewniało go o energii Wyżerki klęcie i wymyślanie. Ilekroć wyszedł w pole, czy

do stodoł, słyszał zawsze, jak ekonom tubalnym głosem

napędza do roboty, jak

karci i dozoruje usilnie.

W bliższe szczegóły nie wdawał się pan Maurycy, bo zresztą, nie znając się na

gospodarstwie, nie umiał zdać sobie sprawy, czy robota

dobrze, czy źle wykonana

była, czy fornał zorał morgę, czy pół morgi. Nie miał o tem
żadnego pojęcia, a
chodziło mu jedynie, żeby się ludzie w jego obecności ruszali.
Ludzie się też ruszali — był kontent.
Ale nowy "rzońca," nie tylko dziedzicowi, ale i służbie i
najemnikom przypadł

do gustu, znalazł sposób dogodzenia obu stronom.
Zaraz pierwszego wieczoru, po objęciu rządów, zaszedł
Wyżerko do kuchni
czeladnej i uciął do służby mówkę, która jak najlepsze w
Malinówce zrobiła
wrażenie.

— Widzicie, moi kochani — przemówił do zebranej służby —
na ludzką pracę nie
jestem łakomy, sam lubię wypocząć, i wiem, że czasem krzyż
wyprostować trzeba.

Chociaż więc zaklnę, to tak więcej dla oka... bo dziedzic,
jakikolwiek tam
byłby, zawsze dziedzic... Byle słyszał, że się coś robi, o resztę
niniejsza!

Posłuszeństwo pierwsze, niż nabożeństwo... Korona z głowy
nie spadnie, jak
czapkę uchylisz, a skłonisz się do ziemi. Kiedy ja mogę
czapkować i dla was
dyshonoru niema...

— Kiej pono z żydów?.. — odezwał się któryś z parobków.

— Wszystko jedno. Jak płaci, to mu się uszanowanie należy.
Zresztą z "pyskiem"

niedaleko zajedzie — odparł Wyżerko. — Pokora niebiosa
przebija, a ciche ciele

dwie krowy ssie! Co wam do tego,

kto? Dziedzic i kwita!.. Ja sam mu będę mówił "jaśnie panie."

Czy to co

kosztuje?

— Juści nie — potaknęli słuchacze.

— A widzicie! Więc pamiętajcie, że jak ja będę miał spokój, to i wy także. A że

czasem zaknę, no, bo na to jestem, żebym kłął. Za to na co innego będę patrzył

przez szpary, bo kto przy kościele służy, ten z kościoła żyje...

Mowa pana "rzońcy," zwłaszcza pełen humanizmu końcowy ustęp o szparach, trafiła

w zupełności do przekonania słuchaczy, usposabiając ich dla nowego władcy bardzo przychylnie.

— Ludzki człek. Nie trza mu na despekt robić. Juścić dobrze gada... dziedzic

dziedzicem! A choć to "nasz" cebulskim zalatuje, to się przecie od "jaśnie

pana" gęba nie sparzy — zawyrokowano między sobą.

Było to najzupełniejsze votum zaufania. Zawarte w programowej mównicy Wyżerki pada

conventa, zostały jednomyślnie przyjęte i z ogólnym zadowoleniem stron

interesowanych wykonywane.

Wędrowały więc obroki, siano, koni-

czyzna, zboże z dworskich zabudowań do wiejskich zagród;
gadziną przypadkiem
pożywiła się na dworskiej łące; czasem któryś z parobków,
wyjechawszy z pługiem
za górkę, przywiązał szkapy do krzaka i poszedł do chałupy
babie pomódz, lub do
lasu po jaki "kawałek"; najemnicy dopiero koło południa
wychodzili do roboty,
ale za to tak służba, jak i pańszczyzna, a nawet gospodarze
wiejscy, gdy się
tylko dziedzic ukazał, nosili czapki pod pazuchą, kłaniali się
"jaśnie panu" do
kolan, a w polu, czy stodołach, aż wrzało, tak się zwijano przy
robocie, Wyżerko
zaś kłął co się zmieści. Aby się nie dać zaskoczyć znieńcka,
pomysłowy rządcą
stawiał jednego z robotników na straży. Jak tylko patrol
dojrzał w oddali
granatową "maciejówkę" dziedzica, zaraz sygnalizował:
"Idzie!.."
Wyżerko, najczęściej drzemiący w cieniu, zrywał się wtedy na
równe nogi i
rozpoczynała się istna bastonada klątw i złorzeczeń, których,
rzecz prosta,
podwładni nie brali do serca, uważając takowe jedynie za
punkta objęte warunkami
obopólnej umowy.

Z początku nie podobało się im tylko, że nowy "rzońca" klnie
jakoś odmiennie,
nie po ludzku.

— Nie powie człowiekowi: ty kondlu! abo chamskie ziebro!
jeno cudackie jakieś
przezwiska nadaje — skarżył się Kuba fornal. — Stałem z
pługiem na uwrociu —
opowiadał — a tu Jędrak krzyczy, że "idzie.." Jak ci się
ekonom nie zerwie, jak
nie zaczniesz wrzeszczeć! Mnie się pierwszemu dostało.
Doleciał i peda: "Kuba!
Hamlecie jeden! czegoż ty stoisz? Jak cię lunę, to ci się Ofelia
przyśni..." Aż
mię zaćmiło od takiej pogańskiej nazwy...
Istotnie, pan Alfons Wyżerko kłął odmiennie, posiłkując się w
przezwiskach
głównie bohaterami szekspirowskich dramatów lub sztuk,
które nie urządziły
"klapy." Czynił to prawdopodobnie z miłości dla sceny, której
był wykolejonym
filarem, w ten chociaż sposób przypominając sobie chwile
dawnego powodzenia.
Ponadawał też Wyżerko całej służbie przezwiska z teatralnego
repertuaru i tych
stale przy dozorze lub dyspozycji używał. Pierwiastkowo
nowość ta, jak to
widzieli-

śmy u Kuby, wywoływała drobne niesnaski, ale stopniowo
przyzwyczajono się do
zagranicznej mowy "rzońcy," a z czasem przywyknęto do
tego stopnia, że czeladź
sama między sobą tytułowała się po aktorsku.

Najpierw uległa żyłce dramatycznej płeć piękna, dziewczki
folwarczne i najemnice,
które zjednał sobie Wyżerko przez nauczenie ich walca z
"Ptasznika." Rozumiano
też przezwiska wybornie. Bywało, huknie w krowiarni:
— Juści gębę rozpuściła Madame Sans Géne! — to zaraz
gruba Kaśka odrzeknie:
— O, ciewy! cóż to, gadać niewolno!
Na kucharkę wolał pan Alfons Desdemono, bo miała
zazdrosnego męża; nocnego
stróża, niegrzeszącego urodą, przezwał Hansem Jurgą;
pachciarza Schyllokiem;
pokojówkę nazywał Romeówką; Kaśkę od krów Madame
Sans Géne — o czym już wiemy —
a polowego przemianował na Poloniusza, prawdopodobnie z
powodu zbliżonego
źródłosłowu.
Wśród najemników i najemic były Doryny, Karyatyda, kilku
Fikalskich, Soło-

ducha, Rip-rip, Gasparone, Perichola — bo i operetką
Wyżerko nie gardził.
O ile z służbą, w początkowych chwilach szczepienia nowej
nomenklatury, miewał
rządca niejaki zatargi i nieporozumienia, o tyle dziedziec
uważał tę sprawę za
bardzo użyteczną.
— Bardzo dobrze — mówił do Wyżerki — że pan
grubiaństwo zarzucił. Dla wieśniaka
z edukacją nawet słuchać nieprzyjemnie takiego paskudztwa!
Po co mówić "psia

dusza, drwalu?", kiedy jest na to inny wyraz! Bardzo chwałę pański sposób...

Bardzo!

Czasami nawet, w przystępie dobrego humoru, sam pan Maurycy używał zwrotów ekonoma, zmieniając niekiedy przytem "obsadę ról." I tak, naprzykład, pastucha źrebiąt Wicka-Romea przerobił na Wicka-Mazepę, co ze względu na styczność z końmi, mającemi związek z tragiczną śmiercią nieszczęśliwego pazia, wydało mu się właściwszem. Krótko mówiąc, stosunek dziedzica z rządcą był jak najlepszym, nic przeto dziwnego, że jeszcze przed

upływem próbnego miesiąca pan Maurycy zawarł kontrakt z eks-aktorem.

Z rozpoczęciem sianokosów, kiedy już dwór został zupełnie odnowiony, naglony listami żony, wybrał się pan Maurycy po małżonkę i dzieci do Warszawy.

Na wyjeźdźnym, zawoławszy pana Alfonsa, polecił mu gorąco pieczę nad gospodarstwem i wyjawiał nawiasowo w delikatny sposób, że życzyłby sobie, aby służba i gromada zgotowały jemu, żonie i dzieciom przyjęcie, jako dziedzicom, którzy pierwszy raz do swojej własności zjeżdżają.

— Pan masz do tego głowę, panie Wyżerko! — mówił. —
Urządź pan to wszystko z

szykiem, jak to ja lubię... Pan wiesz? Przyjedzie może z nami parę osób z

Warszawy na lato... Niech wiedzą, co to znaczy mieć swoje dobra. Ludzie dostaną wódki i piwa, niech im pan to powie dla ochoty... a i pana prezent nie minie...

— Zrobi się, panie dziedzicu, zrobi! — upewniał z istotnem zadowoleniem z okazji popisu Wyżerko.

— Na kosztą niech pan nie zważa —

przerwa] w dalszym ciągu dziedzic — kazałem pachciarzowi dać ile potrzeba. Pan

potrzebuje tylko wystawić kwitek. Może być i muzyka...

— Zastosuję się do woli pana dziedzica! A że będzie dobrze, zaręczam! jakem

Wyżerko! Chciałbym tylko dokładnie wiedzieć, kiedy wielmożni państwo zjadą... to konieczne...

— Za jaki tydzień. Zresztą przyślę depeszę do pana.

Tymczasem trzeba być w pogotowiu...

— O, pan dziedzic nie zawiedzie się na mnie!

— No, to bądź pan zdrow — rzucił na rozstaniu pan Maurycy i z różowemi myślami ruszył do Warszawy.

Po jego odjeździe, wziął się Wyżerko ostro do dzieła.

Zawiesiwszy wszelkie

roboty gospodarcze, użył całej służby do sporządzenia bram tryumfalnych i

przyozdobienia dworu w wieńce i girlandy z świerczyny.
Sołtysowi podarował dwie
fury siana, stojącego w kopach, byle tylko z gromadą,
odświętnie przystrojoną,

w oznaczonym dniu, na granicy Malinówki, przyjazdu
dziedziców oczekiwał.
Według rozkładu kolejowego, przybycie warszawskich gości
mogło nastąpić tylko
wieczorem. Nasunęło to Wyżerce nowy pomysł: A gdyby tak
"żywe obrazy"?
Widział wprawdzie niejakie trudności w wykonaniu, lecz
postanowił je zwalczyć.
Najodpowiedniejszym mu się wydało coś z mitologii... muzy...
bożkowie...
fauny...
Chwyciwszy się tej myśli, nakreślił plan obrazu. Schylloka
wysłał do miasta po
niektóre potrzebne rekwizyty, a głównie po zafantowaną
garderobę teatralną,
zamierzając po odpowiednim przerobieniu użyć kostyumów
z "Pięknej Heleny" dla
wiejskich Kasiek i Marysiek, Kubów i Jacków,
przeistoczonych na mieszkańców
Helikonu. O odpowiedni personel żeński było dość łatwo, co
do męskiego okazały
się niejakie trudności, więc też Wyżerko ograniczył ilość
mitologicznej
brzydkiej połowy do Merkurego i Wulkana.
Rolę Merkurego powierzył gajowemu, na Wulkana znalazł
doskonałego przed-

stawiciela w utykającym na nogę kowalu. Sprowadzony z
miasteczka krawiec Szlomka
dopasowywał szaty dla zbyt korpulentnych muz, a sam pan
Wyżerko umiejętnie
przygotowywał ognie sztuczne, na czym się znał, bo przez
jakiś czas piastował
godność inspicjenta teatralnego, zaś przed wieczorem
odbywały się na dziedzińcu
"próby."

Wszystko szło jak najlepiej. Po kilku próbach, przekonał się,
że silna wola
wszystkiego dokona.

— Nawet z takiego bydła coś zrobić można — mówił do
siebie z zadowoleniem,
patrząc na Parnas z malinowszczanek złożony. W samej
rzeczy, przystrojone w
greckie tuniki, pepla i chlamidy, dziewczęta przedstawiały się
niczego.

Melpomenę wcale nieźle reprezentowała przysadzista Kaśka
"od krów"; Maryśka,

córka polowego, dziewczka żyłasta a krwista, była pełną
zdrowia Euterpą;

Terpsychora, uosobiona przez żonę stangreta, imponowała
cielesną budową; Józka,

przedzierzgnięta w Klio, wybornie wyglądała w powiewnych
tarlatanach; nad

wszystkimi jednak górowała urodą i wdziękiem Jagusia, jako Erato.

Pan Alfons, reżyserując "próbami," po każdej upewniał się, że powodzenie

dopisze, a wykonawcy nie pokpią sprawy. Miał wszystko w pogotowiu, chodziło

tylko o wybór miejsca na prowizoryczną scenę. Upatrzył niebawem

najodpowiedniejsze.

Stała w Malinówce stodoła z młocarnią, zwrócona szczytem ku dworowi. Był to

budynek okazały, drewniany, ale na murowanych filarach, świeżo gontem z rozkazu

pana Maurycego pobity. Zwieziono doń już nieco siana, ale pan Wyżerko

postanowiwszy tutaj urządzić scenę, przerwał zwózkę, kazał siano z jednego

zapola uprzątnąć i sporządzić odpowiednie wzniesienie z desek. Prócz tego

poleciał wyjąć z dwóch przaseł drewniane okrajki ścienne, zawiesił w tem miejscu

wańtuchy, mające zastąpić kurtynę, za której podniesieniem, przez otwór ścienny

widzieć można było całe wnętrze stodoły.

Urządziwszy scenę, która mu najwięcej troski przyczyniła, pewny siebie, ocze-

kiwał z niecierpliwością depeszy, zwiastującej przybycie dziedziców.

— Dopiero "mechesom" frajdę zrobię! — cieszył się w duchu.

— Ciekawym, jaki ja

będę miał za to benefis!

Nareszcie jednego ranka, posłaniec z telegrafu przyniósł lakoniczną depeszę:

"Dziś wieczorem — niech się pan szykuje... Dziedzic."

Przeczytawszy te słowa, pobiegł Wyżerko na wieś do sołtysa, dal mu kwit na dwa

wiadra wódki do karczmarza i najsolenniejsz zalecił już od południa czatować z

gromadą na granicy Malinówki. Sam wrócił do domu, własną ręką pozawieszał

girlandy i wieńce, a następnie odbył "generalną próbę w kostyumach" i z

akcesoryami: Dla Wulkana przyniesiono największy młot i kowadło z kuźni.

Przed wieczorem, dosiadł konia i zaleciwszy karbowemu, aby za zbliżeniem się

pojazdów, zapalono ognie bengalskie i podniesiono w górę wańtuchy, ruszył na

miedzę do gromady. I tutaj znalazł wszystko w porządku. Cała wieś wyległa na to

widowisko. Poczęstunek zrobił swoje.

Zmierzchało już, gdy wysłany patrol dał znać, że jada.

Niebawem ukazały się trzy

pojazdy, wiozące państwa Malinowskich z dziećmi i zaproszonych gości z Warszawy.

Pierwszy pan Alfons podrzucił czapkę do góry, krzycząc: — Vivat!

Zawtórowało mu kilka głosów, zrazu nieśmiało, potem coraz głośniejsz, a gdy

pojazdy zrównały się z oczekującymi, cała gromada,
zachęcona przez sołtysa,
wołała: vivat! choć jaki taki śmiał się na uboczu.
Pan Maurycy, wychyliwszy się z powozu, kłaniał się na
wszystkie strony, kłaniała
się pani Amelia, kłaniał Leon i Róża, kłaniali goście.
Uradowany przyjęciem pan
Maurycy rzucił nawet garść srebrnej monety i kazał jechać
wolno, aby się
widokiem miłym jego sercu nasycić. Do Wyzerki, obok
jadącego konno, odzywał się
co chwila z pochwałami:
— Ładnie! bardzo ładnie! dostaniesz pan dwadzieścia pięć
rubli gratyfikacyi.
Wyzerko uśmiechał się pod wąsem, jakby w przewidywaniu,
że nie na tem koniec.

— Jak zobaczy "żywe obrazy" — myślał — zdechnie z
radości i da pięćdziesiąt!
Nie przewidywał nic złego; dotychczas wszystko szło, jak po
maśle.
Dojeżdżano już do stodoły, zakrywając niespodziankę. Rządca
ruszył nieco
szybciej przodem i zakomenderował:
— Już! hop! hop!
Na to hasło, rozstawieni pod stodołą chłopcy zapalili ognie
bengalskie,
podniosły się w górę wańtuchy, i oczom przybyłych ukazał się
niespodziewanie
dość dobrze ułożony obraz dziewięciu Muz na Helikonie.

— A! a! a! — dało się słyszeć z pojazdów, a Wyżerko,
podbiegłszy do pani Amelii,
jednym tchem wyrecytował:
— Oto Muzy witają dziedziczkę!
Nie dokończył jeszcze oracyi, gdy nagle straszny krzyk dał się
słyszeć z wnętrza
stodoły:
— Gore! gore!
Wulkan, który z obowiązku musiał być zaopatrzony w ogień,
sparzywszy rękę,
rzucił na ziemię tłący zwitek papieru z wybuchającym
materiałem. Iskry pa-

dły na znajdujące się w stodole resztki siana i w mgnieniu oka
cały budynek
stanął w ogniu.
Przestraszone Muzy, drąc się w niebogłosość, zaczęły co tchu
uciekać z Helikonu;
Merkury wołał z całych sił: Gore! wody! ratujcie! ludzie!
krześcijany! bo ogień
na wieś przejdzie...
Rzucono się na ratunek, lecz nadaremnie. Ludziska boso, nie
bardzo ochotnie
garnęli się do ognia, a i wody brakło. Szczęściem, że wiatru
nie było, i
katastrofa ograniczyła się tylko na zaimprovizowanym
teatrze.
Na taką niespodziankę nie był Wyżerko przygotowany, stracił
też zupełnie głowę.
Biegał, jak opętany, z miejsca na miejsce, krzycząc:
— Królestwo za sikawkę!

Był to głos wołającego na puszczy.

Pan Maurycy, pani Amelia i goście zaraz przy pierwszym okrzyku: "gore!"

wyskoczyli z pojazdów i pędem pobiegli do dworu. Bali się samego widoku ognia.

Pani Amelia parę razy mdlała, a pan Maurycy biegał od okna do okna, zaciskał pię-

ście i zapomniawszy o swej obywatelskiej godności, co chwila z głębi piersi

wyrzuca!:

— Aj! waj! mir! aj! waj! mir!

Dopiero, gdy płomienie przygasły i pierwsze wrażenie strachu przeszło, podszedł

do żony, mówiąc:

— Amelcia! nie bój się. Stodoła była asekurowana.

— Na wiele? — pytała szeptem pani Amelia.

— Na dwa tysiące. Straty nie będzie. Ale za ten strach, ja tego Wyżerkę wypędzę,

gdzie pieprz rośnie! Niech tam robi takie iluminację, gałgan!

On tak stworzony

na rządcę, jak my do baletu.

Wyżerko nie zjawił się we dworze, aż dopiero drugiego dnia, wierząc widocznie,

że noc przynosi ulgę. I nie zawiódł się; pan Moryc ochłódł z pierwszego gniewu,

a i rachunek wykazał, że asekuracją pokryje straty.

Zwymyślał wprawdzie ekonoma od "gałganów,"

"obieżyświatów," "czarnych

charakterów," ale skończyło się tylko na wypowiedzeniu służby.

Że jednak Wyżerko kontraktu zwrócić nie chciał, dał mu "odczepnego" pięćdziesiąt rubli i kazał iść na złamanie karku.

.....

W parę dni potem ukazało się w pismach ogłoszenie: "Jest zaraz do wydzierżawienia wieś Malinówka, z inwentarzem i zacierami. Właściciel pragnie zachować dwór i ogród dla siebie. Warunki bardzo przystępne."

Pan Maurycy, zrażony na wstępie, nie chciał już widocznie nadal gospodarować na sobie.

Pan Alfons Wyżerko, mając pięćdziesiąt rubli gotówki i kilka kostyumów odebranych Muzom po pożarze, zamierza zorganizować nowe "towarzystwo dramatyczne," pod swoją dyрекcją, z repertuarem złożonym wyłącznie ze sztuk ludowych. Gospodarstwo ani mu już w głowie...

STOPA PROCENTOWA

STOPA PROCENTOWA.

Był to dzień targowy.

W restauracja małego miasteczka siedziało za stołem kilka osób.

Aczkolwiek nomenklatury krajowych grodów jestem świadom — nie wymienię jednakże,

czy się to działo w Mławie, Jędrzejowie, Skaryszewie, Płocku, czy Garwolinie,

aby nie robić reklamy traktyerni, która zaszczepia swym gościom laseczniki

katara żołądka i przysparza pacjentów lekarzom.

Z innych znów przyczyn nie przedstawię ci czytelniku z nazwiska mych

współzawodników... Ograniczam się tylko

na wymienieniu imion chrzestnych... Oto pan Jan z

Beżładowa, pan Józef z

Wydmuchów, pan Karol z Sapów, pan Hilary z Obołniewa, no i ja! Wszyscyśmy

przybyli do miasteczka dla załatwienia interesów.

Załatwieniem interesu nazywa się dostanie pieniędzy.

Ponieważ przyjechaliśmy dla

załatwienia interesu, nie potrzebuję przeto dodawać, że niedaleko naszych

stolików stała partya obywateli, specjalnie trudniących się handlem. Gwarzyliśmy

o tem i o owem, obsaczeni dokoła szeregiem charakterystycznych postaci. Ciągłe słycać było pytania poważnej natury.

— A po czemu pszenica leku?

— A cobyś dał za groch panie Wajentraub?

— Może Abram kupiłby wagon owsa?

Wtedy charakterystyczne postacie zbliżały się do pytającego i rozpoczynał się

dyalog, przechodzący stopniowo w pianissimo... w szept, a kończący się

najczęściej dosadnym wykrzyknikiem: "zjadłeś sto par dyabłów z taką ceną!"

Rozmowa urywała się, ariergarda wracała na dawne stanowisko, a biesiadnicy udając obojętność, rozpoczynali de noviter porzuconą przed chwilą dla interesu dyskusya.

— Jakże tam u ciebie sypie? sąsiedzie, — zapytuje pan Jan.

— Nietęgo! nietęgo! trzy ćwierci... a pszeniczka była jak las! kłosy tyle... —

pokazując na palcu, odpowiada pan Józef.

— I u mnie nie lepiej! — pomrukuje Hilary.

— Żebym się chociaż nie zawiódł na cenie! ale któż tam wiedział! że tak raptem

skoczy? — dodaje sentymentalnie pan Józef.

— A choćbyś sąsiad i wiedział, to co? — podchwytuje Hilary.

— To co? Nadejdzie

nowy rok — wydatków tysiące, a pieniędzy nie ma. Rad nierad idziesz do żyda — i

choćbyś wiedział, że sto na sto stracisz... sprzedać musisz! Ja sam zmarnowałem sto par po dziesięć rubli.

— No! żebyś naprzód wiedział... tobym już wolał pożyczyć — odpiera pan Józef.

— Gdzie? od kogo? Na pięć na miesiąc — kontruje Hilary — kłaniam uniżenie!

— Dostałbym może taniej...

— Chyba w Towarzystwie.

— A propos Towarzystwa — wtrąca pan Jan — może nam przecież konwersją zrobić?

— Mówił mi niedawno jeden radca, że są na najlepszej drodze...

— Jużto chyba nigdzie na świecie nie płacą ludzie takich procentów jak u nas.

— To też się kapitaliści szybko dorabiają.

— Nie zawsze! nie zawsze! — przerywa Hilary, choć Jojna potakująco skinął głową.

— Ja sam biorąc duży procent, straciłem duży kapitał...

— A to się sąsiad w wekselki bawił? — zapytuje ze śmiechem Józef — ot to ładnie!

jakże to było?

— W wekselki jak w wekselki, to całkiem co innego! żebyś wiedział, że was nie znudzę...

— Słuchamy! słuchamy! — zawołaliśmy chórem na Hilarego

— niechże i żyd-

kowie posłuchają, jakie skutki są z wielkiego procentu —
dodał z powagą pan Jan,
którego się zawsze koncepta trzymały...
Ariergarda na to słowo "procent" nadstawiła uszu, Hilary
odetchnął i zaczął
mniej więcej w ten sens:
"Po ukończeniu szkoły rolniczej i odbyciu praktyki, ojciec
wziął mi maleńką, ale
w dobrej ziemi, dzierżawę pod Kaliszem. W sąsiedztwie
siedział na dużej
donacyjnej wiosce mój przyszły wówczas, a dziś ś. p. teść.
Choć dziedzictwa nie
posiadał, uchodził jednakże za człowieka bogatego,
gospodarował dobrze, kredyt u
żydów miał nieograniczony, co, jak wiecie, jest najlepszym
dowodem zamożności, a
że z gościnności słynął i dom prowadził otwarty, bo córki były
dorosłe, niebawem
i ja znalazłem się pod gościnną jego strzechą.
"Nie będę wam opowiadał, jak stroiłem koperczaki do mojej
Baśki, jak się
ożeniłem... czego do tej pory nie żałuję, powiem tylko, że
przed samym ślubem
wołał mnie teść i mówi: — Wiem, żeś chłopak dobry, masz
mały kawałek ziemi, dopóki
was będzie dwoje, to wam wystar-

czy. Ja pieniądze mam w ruchu, ale będę ci płacił procent od
posagu — tysiąc
rubli na rok... powinieneś coś z tego odłożyć..."

Wariergardzie dały się słyszeć szepty: "a schönes geld! cen hindert kierbeł."

Hilary ciągnął dalej: "... Pocałowałem teścia w ramię i z najlepszą miną poszedłem do ołtarza. Na weselisku bawiliśmy się doskonale — do trzeciego dnia!

Pobłogosławiony na odjezdnem przez teścia, żegnany przez sąsiadów i znajomych, zabrałem żonę i wyprawkę i znaleźliśmy się na swoich śmieciach. Rok upłynął.

Familia się powiększyła. Teść regularnie co kwartał przyjeżdżał, pieścił wnuka, oglądał gospodarstwo, to i owo pochwalił, lub zganił, procent wyliczył i odjeżdżał do domu.

"Zaraz jakoś w drugim roku po ożenieniu się mojem, zmarła ciotka moja i matka chrzestna zarazem, zapisawszy mi kilkanaście tysięcy marek. Miałem już swoich kilka tysięcy, a że i amator na dzierżawę się trafił, dając dobre odstępné... zachciało mi się własnego gospodarstwa. Teść nie oponował... Zacząłem szukać... i nastręczono mi obecne moje dziedzictwo.

Pojechaliśmy z teściem na oględziny, no i... kupiłem. "No — myślę sobie — teraz teść coś dołożyć musi. Na szczęście, a raczej na nieszczęście moję, na majątku było kilkanaście tysięcy nieletnich na %... a wymagalnych za lat dziesięć."

Tu pan Hilary popił piwa, a między tylnem audytoryum dały się słyszeć głosy:

"sechs procent! e feines geszeft!"

"... Na lat dziesięć — mówił dalej, odsapnąwszy Hilary. — W hypotece, gdyśmy do

zrobienia aktu pojechali, powiada teść: — Wiesz, Hilarku, to się paradnie

składa! Akurat płaciłbyś tysiąc rubli procentu nieletnim...

Wiesz co? ja to

wezmę na siebie, a ty będziesz miał majątek jakby czysty!

Jesteście młodzi,

pracowici, ziemia dobra, powinieneś co roku coś odłożyć..."

"Wówczas nie domyślałem się jeszcze, po co mi teść tak przy każdej sposobności

radzi... odkładać!

"Osiałem na nowem gospodarstwie i szło mi niezgorzej. Teść procenta nieletnich

wypłacał, gdy nagle otrzymujemy

telegram, że teść umarł!... Żona w lament! ja także.

Pojechaliśmy oddać ostatnią

przysługę. Po pogrzebie, rejent z powiatowego miasta, a serdeczny przyjaciel

teścia, gdy cała rodzina się zgromadziła, odczytał złożoną na jego ręce ostatnią

wolę nieboszczyka.

"Mogę ją wam dosłownie odczytać gdyż na wieczną rzeczy pamiątkę dokument ten

noszę przy sobie."

Tu Hilary wydobył z pugilaresu pożółkły papier, a rozłożywszy go przed sobą na

stole, czytał:

"Kochane dzieci! Należycie do równego działu, gdyż każde z was trojga jednakowo kochałem. Cały pozostały po mnie majątek ma iść na trzy głowy: Sabcię, wdowę po ś. p. synu moim Henryku, na ciebie synu mój Janie i Basie, siostrę twoją, wydaną za Hilarego. Żadnemu z was z uszczerbkiem drugich ciepłą ręką nic nie dałem, płaciłem tylko — uważając, jako człowiek sumienny, was, dzieci moje, niejako za swych wierzycieli — procent najregularniej! Każde z was to poświadczy.

Nie chcąc was krzywdzić, płaciłem procent według skali przyjętej w kraju, jak i innym wierzycielom. Dziś po mojej śmierci, każde część swoją odbierze i sędzę, że mi przyzna, iż procent, jaki płaciłem, był wystarczający. Tysiąc rubli od

kapitału , to wypada % rocznie, ale to u nas przyjęte..."

"Więcej już wam czytać nie będę — ciągnął dalej, chowając papiery Hilary. —

Gorąco mi się zrobiło! Więc %! a ja sądziłem, byłem pewny, że najwięcej %!

Liczyłem kapitał , rb. ! Masz tobie! a suma nieletnich! Zkąd ja to wezmę!

Nie było rady! Rzeczywiście teść mój zostawił na czysto tylko tysiący, na

trzy głowy! I tak, moi kochani, dzięki wysokiemu procentowi, tej przyjętej w

kraju stopie procentowej, mam obecnie kilkanaście tysięcy
rubli długu na majątku
i licho wie, czy się kiedy wyrobię?!..."
Spojrzałem na ariergardę, słuchającą w niemem skupieniu
opowiadania Hilarego. Na
twarzach żydków malowało się jakby rozczarowanie,
spowodowane niespodzianem
zakończeniem historii, szcze-

gólniej rudy Jojne zdawał się być głęboko przejęty...
Złota myśl błyskawicą przebiegła mi przez głowę! A nuż go to
wzruszyło? —
pomyślałem.
Nie dając mu ochłonąć z wrażenia, pobiegłem szybko,
proponując pożyczkę na nowe
zboże.
Dyalog rozpoczął od %, a skończył na % na miesiąc. Od tej
cyfry rudy Jojna,
mimo smutnego przykładu, nic odstąpić nie chciał.
Niepoprawny!
Zgubione plemię! — pomyślałem w duchu — a uściskawszy
rękę sąsiadów, pojechałem
z niczem... do domu i zaprenumerowałem... "Rolę."

PROMIENIE ROENTGENA.
(SPRAWOZDANIE NIENAUKOWE Z POŚLADOWA).

PROMIENIE ROENTGENA.
(SPRAWOZDANIE NIENAUKOWE Z POŚLADOWA).

Ludność Pośladowa kładła się spać z zachodem słońca, z kurami. Patryarchalny ten zwyczaj mieszkańców sławetnego grodu, troskliwie przestrzegany przez rodziny Pośladowian, z wyjątkiem kilku zepsutych cywilizacją zachodu osobistości, przynosił ogółowi podwójną korzyść: moralną i fizyczną. Moralną — ponieważ nurtująca gdzie indziej podwaliną społeczną kwestya ograniczenia godzin pracy do umysłów Pośladowian nie miała zupełnie dostępu; fizyczną — gdyż wiadomo, że "wyspanie się,"

jako funkcyja fizyologiczna, znakomicie wpływa na stan cielesny jednostek, a mens saun in corpore sano... Była jeszcze i trzecia korzyść, pośrednia, mająca zarówno z moralnem, jak fizycznem zdrowiem styczność — oszczędność oświetlenia. Wprawdzie zysk z tej przyczyny nie nosił charakteru "powszechnego dobra," gdyż oświetleniem publicznem miejskiego terytoryum na mocy przedpotopowej koncesyi,

udzielonej przez naturę, zajmowało się towarzystwo księżycowe, w każdym jednak razie oszczędność w materiałach światłodajnych przynosiła znakomitą korzyść kieszeniom pojedynczych jednostek, gdyż według skrupulatnego obliczenia Judki Weichselfischa, Pośladów w sezonie zimowym spotrzebowywał miesięcznie: trzy naftówki kanfiny, dwa kamienie świec łożowych i około dziesięciu funtów świec stearynowych, po pięć sztuk na funt. Za wierność statystyki pana Weichselfischa sumiennie poręczyć można; stąd prosty wniosek, oparty na wiarogodnych danych, że wydatek na oświetlenie w roz-

kładzie na parutysięczną ludność Pośladowa wynosił niewiele. Sprawa to prywatna, jednakże na podniesienie zasługująca. Dodać jeszcze należy, bo prawda przede wszystkim, iż rachunek prawdopodobieństwa kosztów oświetlenia "na głowę" ulegał faktycznie niejakiej redukcji, jeśli wziąć pod uwagę, że z tegoż światłodajnego źródła, którego dostawcą i generalnym szafarzem był powyżej wymieniony Judka Weichselfisch, czerpały również instytucje publiczne i zakłady rozweselające, które z konieczności zarywały czasem nocy. Więc magistrat, który, prócz lamp biurowych, miał łakomego konsumenta nafty w

zawieszanej na słupie latarni; więc miejscowa poczthalteryja
oświetlana dla dobra
służby do godz. -ej wieczorem, t. j. do chwili wyprawienia
"ostatniego traktu";
więc apteka, szlaban na moście, dzierżawiony przez tegoż
Weichselfischa, a
nadewszystko restauracya Nepomucena Karczochoy,
nienasycona pożeraczka oleju
skalnego, bo posiadająca aż trzy lampy o ulepszonych
palnikach.

Nieraz też śmietanka pośladowska przy "wengtenie" lub
pogawędce, w której rej
wodził, rozpowiadając de publicis, właściciel poczthalteryi,
pan Wiorstowicz,
przesiadywała w zakładzie Karczochoy do późnej nocy, a w
przeddzień świąt nawet
do świtu.

Rzecz prosta, iż wskutek przydługich posiedzeń, odbywanych
nie "poomacku,"
konsumcyja nafty była znaczna, i Weichselfisch uważał
restauratora za
najgrubszego odbiorcę. Skarbił sobie też względy Karczochoy,
zachodząc niekiedy
na posiedzenie do restauracyi, biorąc udział w rozprawach
politycznych, grając w
domino, jednym słowem, przyczyniając się do ożywienia i
przedłużenia zebrań.
Mróz trzymał, zawieszony w oknach apteki termometr
wskazywał stopni niżej

zera. Słońce gasło. Mrok wieczorny sadowił się już po wąskich uliczkach miasteczka, tylko na rynku walczył jeszcze z nadpływającymi cieniami nocy odbrzask dzienny, ślizgając się po taflach zamarzniętych kałuży.

Wreszcie i nad systemem wodno-błotnym pociemniało; żaróżowiona tarcza słoneczna przejrzała się jeszcze raz w stalowej korbie studni miejskiej, świetlana struga jeszcze raz zamigotała na blaszanym dachu magistratu i słońce zbiegło gdzieś daleko za góry, za lasy, za szlaban, przy którym Judka Weichselfisch robił właśnie dzienny obrachunek z mostowego (po dwie kopiejki od konia). Pośladów, okryty płachtą ciemności, zabierał się do spoczynku. Zakurzyło się z kominów, z różnych stron dolatywało donośne szczekanie spuszczonego z łańcucha psów, rozbrzmiewał ochryply głos i kołatanie stróża nocnego, pełniącego równocześnie obowiązek woźnego magistratu. Judka Weichselfisch, schowawszy w kieszeń długiego chałata utargowaną z "mostowego" kwotę i przykazawszy pełniącemu per procura funkcję mostowniczego Lajbusiowi zamknąć na noc szlaban na kłódkę, ruszył ku domowi. Musiał jeszcze

zajrzeć do słupa, a następnie nosił się z zamiarem odwiedzenia
pana Karczochoy,
spo-

dziewając się dziś dość liczne zebranie, z powodu
przypadającego w dniu
jutrzejszym święta.

Judka Weichselfisch, człowiek otarty w świecie, bywalec,
lubił towarzystwo,
lubił nawet bezinteresownie.

W ostatnich czasach zasmakował w polityce, zwłaszcza losy
Artona zaciekały go

niezmiernie. Śpieszył więc, aby się nie opóźnić, a że dla
przyjemności nie zwykł

zaniedbywać obowiązku, wstąpił do sklepu, zamknął go na
żelazną zasuwę, zjadł

przyrządzoną kolację, schował w kieszeń na przekąskę przy
piwie kawałek chały i

tak załatwiwszy się z najpilniejszymi sprawami, ze swobodną
myślą zjawił się w
restauracyi.

Z wyjątkiem Wiorstowicza, znalazł już całe towarzystwo przy
kuflu.

Jako człowiek dobrze wychowany, rozpoczął od powitania:

— Dobry wieczór państwu...

— Dobry wieczór, Judka! szulom alejchem ! — odpowiedział
obeznany nieco z

hebrajszczyzną prowizor farmacyi, Albin Merkurowicz.

— Dobra mina! Pewnie Weichselfisch
nieźle dziś utargował, a i z "mostowego" porządnie kapnąć
musiało? Widziałem
kilkanaście furmanek na szosie — wtrącił tonem pytania
sekretarz magistratu,
stary kawaler, nieużyczliwy, a siedzący na groszu kutwa,
Stempelski.

— Pewno! kieszeń wypchana... Mo żebyś zagrał w wengtena,
albo w "oko" —

zapropował pan Izydor Przepędzki, pisarz prowentowy z
pobliskiej wioski,
bawiący czasowo za sprawunkami w Pośladowie.

— Zagrać... ny! po co takie bałamuctwo. Ładne słowo lepsze
od gry, zresztą teraz
ciężkie czasy na takie zbytki — odparł Judka, zasiadając przy
stole.

— Et! narzekasz, a o zakładbym poszedł, żeś z samego
mostowego uzgarniał już na
posag dla Malki — przerwa! Merkurowicz.

— Wolne żarty pana prowizora! Z czego? z mostowego...
Niech moją wrogi mają ten
dochód! Trzyma człowiek ze zwyczaju.... Trzymał dziadek,
trzymał ojciec...
trzymam i ja, ale żeby nie sklep... to auf

meine munes nie byłoby żyć z czego. Co pan chce! to nie
dawne czasy, teraz
szlachta czwórką nie jeździ, chłop chodzi piechotą, a nie, to za
mostem
przystanie paskudnik, żeby nie płacić! skąd ma być dochód?...

Weichselfisch, mijając się nieco z prawdą pod względem wysokości dochodu z mostowego, z drugiej strony miał niejaką rację, przytaczając reformę w ekwipażach szlacheckich. Również twierdzenie, iż wydzierżawiał myto dla wspomnień rodzinnych, nie było pozbawione podstawy. Rodzina Weichselfischów zżyła się z Pośladowskim mostem; trzy pokolenia siedziały, wychowały się w budce nad rzeką, sam Judka ujrzał tam światło dzienne, nic więc dziwnego, że nadmoście miało dlań pretium affectionis. Czasem syn szlachecki, dorobiwszy się grosza, odkupuje za duże pieniądze wioskę rodzinną, gniazdo ojczyste, czasem nawet przepłaca... Dłaczegóżby Judce nie było wolno mieć tej samej przyjemności przy dzierżawieniu mostu? Ale ludzie są podejrzliwi. Pan Mer-

kurowicz miał właśnie tę wadę i, na słuszne wywody Weichselfischa nie zważając, upierał się przy swojej propozycji... — Ta... ta... ta! Gadaj Judka zdrów! mnie w pole nie wywiedziesz! Lepiej się nie wykręcaj sianem i siadaj do gry. Utniemy partyjkę "stukułki..." Wygrany funduje piwo... Zgoda? i pan sekretarz z nami. Stempelski skinął potakująco głową. Wobec uczestnictwa urzędowej figury, Judka, godząc się już z przeznaczeniem, z

głębokiem westchnieniem wygłosił:

— Niech będzie stukałka... Skoro pan sekretarz jest na to amator.

Czuwający w pobliżu Karczocho na "jednej nodze" pobiegł po karty i niebawem całe grono, założywszy "pulę," zasiadło do gry.

Widocznie jednak przeznaczenie nie chciało, aby Judka padł ofiarą hazardu tego

wieczora, bo w chwili, gdy pan Stempelski, mając w kartach króla, "zarabował"

asa i już wyciągał rękę po wygraną, ukazał się we drzwiach

Wiorstowicz z

okrzykiem:

— Popękacie z ciekawości, jakie nowiny przynoszę! Koniec świata, jak honor

kocham! Przy tych słowach podszedł do stołu i dla przerwania dalszej gry

pomieszał leżące karty.

Spojrzał nań z wyrzutem Stempelski, Przepędzki niechętnym obrzucił wzrokiem, bo,

mając trzecią damę atutową, spodziewał się "oblizać lewą" — lecz chwilową urazę

przemogło zaciekawienie.

— Cóż takiego? — spytano chórem.

— Może Bismarck umarł? — zagadnął nadśluchujący pan Nikodem, wielki

nieprzyjaciel Niemców, którym upadek dobrobytu wśród szlachty, a co za tem

idzie, stagnację we własnym interesie przypisywał.

Przybyły potrząsł głową.

— To może jaki wypadek z Artonem? — zapytał Weichselfisch.

— Ho! ho! z Artonem? już kaput! — objaśnił pocztmistrz. — Siedzi już w klatce...

Anglia... wydała go władzom francuskim.

Judka splunął.

— Ale co tam Arton! — opowiadał z entuzjazmem Wiorstowicz. — Odkrycie!

znakomite odkrycie! Panie Merkurowicz, pana to najbardziej zainteresować powinno...

— Słucham! słucham! naczelniku... Mówcież! — dopraszał się pan Albin.

— Krótko powiem... niema już tajemnicy! fotografia wszystko wykrywa... panie Albinie!

Pan Albin namiętnie uprawiał fotografię, miał aparat i jako fotograf-amator

zyskał już wielkie powodzenie u płci pięknej, nic przeto dziwnego, że nowina,

przyniesiona przez pocztaltera, zaciekała go niezmiernie.

Przysunął się bliżej, oczy wytrzeszczył i, potrząsając rękę Wiorstowicza,

wykrzyknął:

— Gadajże, naczelniku! A to ciekawe! muszę zaraz to odkrycie wypróbować...

Wiorstowicz dla wzbudzenia większej ciekawości milczał czas jakiś, a po chwili z

flegmą wydobył z kieszeni surduta zwitek najświeższych gazet...

— Macie! czytajcie! umyślnie schowałem te numera dla was
— rzekł, łącząc słowa z
uczynkiem.

Rzucono się do dzienników.

Zapanowało ogólne milczenie, o stukulce nikt już nie
pomyślał, nawet gospodarz
tak zawsze troskliwy o gardła gości, zapomniawszy o
przyniesieniu świeżej
kolejki, zabrał się do czytania.

Po chwili Weichselfisch, który z druku niewiele mógł pojąć, o
co właściwie

idzie, przerwał, pytając:

— Zwyczajny figiel! co wielkiego?

— Głupiś Judka! — odparł bez ceremonii urażony
lekceważeniem fotografii

Merkurowicz. — Przewrót... przewrót zupełny... Odkrycie
Roentgena to historyczna
karta w dziejach fotografii.

— Tak! tak! — zawtórował Przepędzki.

— To się wie — potaknął Wiorstowicz. — Teraz z pomocą
fotografii będzie można
zdjąć podobiznę przedmiotu, ukrytego w szkatułce, w
komodzie...

— Jak to? — spyta! Judka...

— Przypatrz-że się, Weichselfisch. Oto rycina, zdjęcie
klejnotów, zamkniętych w
kasetce, to wizerunek zwichniętego puszczelą...

— Nowy wynalazek i w medycynie zatem znajdzie
zastosowanie — zauważył
Stempelski.

— Mamy już tego przykład — pouczał poczthalter — oto
wyjęcie kuli, siedzącej w
ciele od lat kilkunastu, której nadaremnie poszukiwano.

— Patrzcież! patrzcież państwo! koniec świata! Do czego to
doszło — rozważał

Stempelski — słowo uczciwości dając, to przechodzi pojęcie o
wyobrażeniu. Teraz

na ten przykład, przy superrewizji symulacja... zdechł pies!

Udasz kulawego,

głuchego, powiesz, że masz rękę złamaną... odfotografują i...
pod karabin.

— To się wie! — potaknął Wiorstowicz. — Wszystkie
sztuczki na nic!

Teraz już i Judka zaczął kiwać głową w zamyśleniu...

— To wielka rzecz! — rzekł po chwili. — Rarytny

wynalazek. Jak się nazywał

ten... ten mądry fotograf?

— Nie prosty fotograf, lecz profesor. Profesor Roentgen —
ujął się pan Albin.

— Roentgen — powtórzył Judka. — Czy on nie z "naszych"
przypadkiem?

Na tym interesie można zarobić ładny grosz!

Karcący wzrok Merkurowicza był dostateczną odpowiedzią na
rodowodowe pytanie

Judki; nie dotykając już przeto pochodzenia wynalazcy,

Weichselfisch począł w

dalszym ciągu dopytywać się o praktyczne zastosowanie wynalazku.

— To, proszę pana — rzekł, zwracając się do prowizora, którego kompetencję uznawał — przed takim promieniem nic się nie uchowa. Dajmy na to biżuterię w zamkniętej skrzynce można odfotografować? A co taka rurka kosztuje?

— Tego nie wiem, ale odfotografować wszystko można. Promienie Roentgena czynią każde ciało przezroczystym. Naprzykład przez ciało ludzkie widać kości i soczewka fotograficzna odkrywa... — objaśniał.

— To mniej więcej w tym świetle ciało jest jak galareta z nóżek — wtrącił pan Nikodem Karczocho.

— Porównanie właściwe i trafne... a nie tylko ciało, ale i drzewo, pod wpły-

wem tych promieni galarecieje — tłumaczył naukowo pan Albin.

— To, z przeproszeniem pana prowizora — spytał Weichselfisch — jakby się na ten przykład trafił złodziej fotograf z taką rurką, to mógłby w kufierku pieniądze wypatrzeć i, nie daj Boże, ukraść. Pana Stempelskiego, mającego kapitały przechowywane w zwykłym biórku, ciarki przeszły. Poblądł i z uwagą oczekiwał odpowiedzi prowizora. — Zapewne — rzekł tenże — ale kasy ogniotrwałej nie przepatrzy, bo metal nie

przepuszcza...

— Nie przepuszcza — powtórzył uspakajająco sam do siebie sekretarz magistratu.

— To jeszcze nie wiadomo z pewnością — zaproponował Wiorstowicz. — Z każdym dniem wynalazek robi nowe postępy. Czytałem, że już listy w zamkniętych kopertach odfotografować i czytać mogą.

— Niby to tego naczelnik bez fotografii nie potrafisz — szepnął mu na ucho Przepędzki.

— Daj pan pokój z żartami! My tu rozmawiamy na seryo — odrzekł pocztalter.

Wzmianka o listach niezmiernie zaintrygowała pana Albina.

Kochał się na zabój w

pannie Eugenii, najmłodszej córce burmistrza, a miał przeczucie, że bogdanka go

zdradza, bo często koresponduje z "kimś" z Warszawy.

Próbował wykryć tajemnicę,

ale listy były rekomendowane, więc Wiorstowicz stanowczo od współudziału się

uchylał i pieczęć tajemnicy, mimo usilnych próśb

zakochanego, nie została

naruszoną. Teraz przyszło mu do głowy... a nuż!

Odciągnąwszy przeto na bok pocztaltera, zaczął:

— Wiecie, panie naczelniku! W waszych rękach los mój!

Przeczuwam, że Genia mię

zdradza, ale chcę mieć pewność. Jadę do Warszawy, kupuję aparat Roentgena i...

jeśli naczelnik mię kochasz, odfotografujemy jej listy!
Przecież pies się nie
dowie! A jej do oczu pokażę! Niech wie, że mnie, prowizora
farmacyi, na dudka
wystrychnąć nie można...

— Pogadamy o tem potem, kochany panie! — odpowiedział
wymijająco Wiorstowicz, a
wracając do stołu, dodał:

— A pamiętajcie tam o flaszeczce odecoloń dla mnie... i
fiksatuarek zdałby
się...

Przymówka wydała się Merkurowiczowi dość obiecującą na
przyszłość, więc,
uśmiechnąwszy się, odrzekł:

— Jutro naczelnikowi sam wszystko przyniosę...

Mimo chwilowej nieobecności dwóch towarzyszków, dysputa
na temat promieni

Roentgena nie ustawała.

Najwięcej zainteresowania zdradzali Weichselfisch i

Stempelski. Każdy jednak z

innego powodu. Kiedy bowiem sekretarz rozmyślał nad
ochroną przeciwko skutkom

wynalazku, dzierżawca mostu rozważał praktyczne

zastosowanie cennego odkrycia w

stosunkach ekonomiczno-kredytowych.

Po dłuższem zastanowieniu się spytał wreszcie Merkurowicza:

— Bez urazy, panie prowizorze, ja mam jedną myśl. Na ten
przykład w ku-

pieckim stanie trafi się czasem brzydka potrzeba zrobienia zajęcia z komornikiem u którego z obywateli. Zwyczajnie kiepskie czasy... Trafi się, że człowiek przyjedzie na grunt, a tam nic niema, same graty... Co lepszego... srebra... kosztowności... pochowają w dziury... Trzeba brać co jest. Kłopot, subiekcyja, koszt na furmanki... nieprzyjemność. To ja myślę, że jakby przyjechał z takim rurkiem i puścił światło na dwór, toby wszystko widział jak na dłoni... gdzie srebra... gdzie porcelana... gdzie droższe rzeczy są... I obyłoby się bez kłopotu. Człowiek szedłby prosto do takiego miejsca, do takiej kryjówki i kładł pieczęć... Czy ja dobrze powiedziałem? — No! przykra to rzecz zajęcie, panie Weichselfisch, ale w istocie wynalazek Roentgena i tu dałby się zastosować, ale potrzeba na to specjalisty, fotografa. Człowiek niekompetentny nic tu nie zrobi. — Jak trza! to trza! będzie fotograf. Jak to wejdzie w modę, to w każdym miasteczku będziemy mieli takiego specjalistę. Czy wielki wydatek? — Niewielki, ale zawsze jest...

— To się później wszystko w kosztach doliczy...

— Jeśli to prawda, co mówicie — wtrącił na to pisarz
prowentowy, pan Przepędzki
— to i zboże w spichrzu odfotografować można.
— Takoz — upewniał pan Albin.
— Śliczna rzecz! śliczna rzecz — z uwielbieniem wygłosił
Weichselfisch i nie
czekając dalszych rozpraw, pożegnał obecnych, aby się
jaknajprędzej radosną
wieścią ze współwyznawcami podzielić.
Pozostali przedstawiciele inteligencji Pośladowa debatowali
nad wynalazkiem
Roentgena do białego rana.
Przy naukowej rozprawie pękł bez mała antałek piwa, ku
wielkiej radości pana
Nikodema Karczochoy, który, pijąc z gośćmi za zdrowie
wynalazcy-profesora,
wyraził jedynie obawę, że z pomocą takiej rurki nawet do
garnków, bez wiedzy
gospodarza, zajrzeć można. Nawet pokrywa nie pomoże!
.....
W parę dni potem pan Albin Merkurowicz wybrał się do
Warszawy po nowy

aparat, z pomocą którego miał nadzieję zdemaskować obłudne
serce panny Eugenii,
pan Stempelski sprowadził sobie kasę ogniotrwałą na kapitały,
a Judka
Weichselfisch wyprawił najmłodszego syna, Mendla, na
naukę do fotografa w
Kozienicach.

— Nie płacz, Sure! Będzie miał z czasem ładny kawałek
chleba! Będzie z rurką i
komornikiem jeździł na zajęcia — utulał żonę, lamentującą
przy odjeździe
Benjamina.
Taki wpływ wywołało w Pośladowie odkrycie Roentgena.

BIEGLY W PIŚMIE.

BIEGLY W PIŚMIE.

Cały świat znał Judkę Pomeranca, kupca II gildyi z
Bydłatkowa.
Jeżeli się mówi: "cały świat," to nie trzeba zaraz myśleć o
dalekich krajach,
Brazylii, Argentynie, bo i po co? Co komu przyjdzie z tego, że
będzie znany w
zamorskich stronach, jeżeli on tych stron nie zna, jeżeli tam
nie jeździł za
interesami? Taka znajomość całkiem nie potrzebna i nie
przydatna.
Inna rzecz, gdy kupiec, co ma własny zajazd, sklep korzenny i
delikatesowy, co
handluje ze szlachtą i prowadzi pieniężne operacje, jest znany
w świecie,

mającym co prawda tylko kilkanaście mil obwodu,

ale posiadającym w swym obrębie takie ładne i handlowe miejscowości, jak:

Guzików, Kałuże, Zachwastów lub Koziedołki, w których co tydzień odbywają się

słynne jarmarki; jeśli on jest jak u siebie w domu we wszystkich Wólkach,

Górkach i Nizinach, co się wiankiem po tym ładnym szmacie świata rozsiadły, gdy

z każdym szlachcicem bez uprzedniej prezentacji może zrobić dobry interes, — to

jest dużo wygodniej, niż cała Ameryka razem.

W takim to świecie, w takim kawałku świata, kupcowi do szczęścia nic więcej

prócz pieniędzy nie potrzeba.

Taki to świat znał Judkę, a i on znał ów świat równie dobrze.

Była to spółka,

oparta na wzajemnej znajomości.

Lecz że nikt bez danej racyi rozgłosu nie zyskuje, i do

sławności Judki poważne

znajdowały się przyczyny. Możliwość z nich spisać taki rejestr, jak warunki

licytacyjne na naprawę szosy.

Po pierwsze, najpiękniejszy dom w całym Bydłatkowie, w samym rynku, z podsieniem

na filarkach, był własnością Judki Pomeranca. Zajazd i sklep korzenny,

w którym wszystkiego, czego dusza zapagnie za gotówkę i na kredyt (jak komu) dostać można było, zarządzane przez małżonkę Judki, Ryfkę, mieściły się w tym domu, a prócz tego właściciel miał tam jeszcze bardzo piękne pomieszkanie z alkierzem dla rodziny, spichrz na zboże, stajenkę i dwie izby, wydzierżawione bardzo porządny lokatorom, co się faktorstwem trudnili. To był pierwszy punkt rozgłosu Judki. Po za tym punktem, co jeden na cały Bydłatków miał dach czerwoną blachą kryty, był jeszcze jeden punkt, drugi, najgrubszy szczebel w drabinie jego sławy. Judka był kupcem II-ej gildyi, największym pieniądzeżnikiem, najgrubszym kapitalistą na cały dziesięćmiłowy wokół świat! Powiedzieć: "kupiec" — to jest bardzo mało, to jest prawie tyle, co powiedzieć: "las," albo "ryba," to jest całkiem liche nazwanie. Jest las, co w nim można czworokonną karetą swobodnie nawrócić; jest i taki gąszcz, co porządnemu kapitaliście strach nocą iść przez niego; jest miody zagajnik, jest i starodrzew z sosnami,

co paręset kubików mają, a wszystko las. To samo i z "rybą." Pięćofuntowy szczupak ryba i płotka ryba! — a przecież jest między nimi kawałek różnicy.

Tak samo i w kupieckim stanie. Nie dość powiedzieć: kupiec;
należy dodać
jeszcze: jaki. Są i tutaj różne rangi i specjalności, jak nie
przymierzając u
doktorów. Jest specjalista od gardła, od kobiecych słabości,
od cukrowej
choroby, od niedelikatnej skóry...
Jednemu najlepiej pasuje wątroba, innemu lubuje ból w
środku, a wszystko to są
doktorowie, tylko po kawałku medycyny między siebie
rozdzielili. Jest to taka
parcelacja chorób.
Tak samo i kupców.
Ten handluje skórkami, ten szmelcem, inny kupuje zboże,
inny jeszcze z wełną ma
do czynienia, ten ma w ruchu sto, ten tysiące rubli. Wszystko
to są kupcy, choć
każdy w innym towarze pracuje.
Ale jak między doktorami trafi się jeden taki znaczny medyk
do wszystkiego, co
każdej słabości zaradzi, z każdą chorobą ma znajomość, i czy
to taki, czy owaki

kawałek boleści, mały, czy duży feler, on na wszystko hurtem
recepty pisze, —
tak i w kupieckim świecie.
Na sto, na tysiąc żydków, trafi się jeden taki hurtownik z
pieniędzmi, z dobrą
głową do każdego interesu; taki towaru nie sortuje, nie
przebiera w nim, bo jemu

jedność. Skórki to skórki, szmelc to szmelc, sto par, zgoda —
byle był zarobek,
grosza na wszystko starczy, a jeszcze potrzebnemu pożyczką,
czy to na pierwszą
hypotekę, czy na solidarny weksel wygodzi.
Jednak potrzeba na to być wielkim pieniążnikiem. Stąd cała
rzadkość, cały
rarytas!

Judka Pomeranc był właśnie taką osobą co choć z chamami
wdawać się nie lubił,
żadnego interesu nie przepuścił. Bywało, że szlachecowi
padnie kilkadziesiąt
skopów, Judka skórki kupi, a po drodze tuczną gęś na sabat od
chłopki nabędzie.
Jedno drugiemu nie przeszkadza. Interes z interesem nie będą
się z sobą kąsały,
jak dwa kundle wiejskie, a i wstydu w tem

żadnego niema. Z małych zysków przez rok urośnie wielki
zysk.

Judka kupił na handel świadectwo II-ej gildyi, ale i bez tego
ludzie o nim
wiedzieli.

A trzeba go było widzieć przy interesie, w ruchu! jakie obycie,
jak słodką mowę,
jaką wyrozumiałość miał!...

Daleko poszukać!

Nic przeto dziwnego, że ta głowa u wszystkich miała
poważanie i znaczość, a
choć w okolicy bogatych kupców nie brakowało, Judka był
między nimi, jak nie

przymierzając, szczupak między płotkami.
Choć w Anglii nigdy nie był, i tylko cukierki angielskie w
swoim sklepie
trzymał, wiedział on, że "czas to pieniądz."
To też cały tydzień rozłożył sobie na raty. W poniedziałki
jeździł najętą bryką
na jarmark do Koziedołków, we środę do Guzikowa, we
czwartek, jako w dzień
targowy, siedział w rodzinnym mieście i załatwiał interesy z
kupcami, w piątek
od południa urzędowe sprawy, z wójtem lub z panem
komornikiem, przeglądał
kontrakta i rewersa, a od południa przygotowy-

wał się do święcenia sabatu, albo w mykwie, lub zatapiając się
w talmudycznych
rozmyślaniach. Czasem dla rozmaitości obliczał
całotygodniowe zyski.
Dla wiejskich interesantów, których dzielił na "ruchomość" i
"nieruchomość,"
poświęcał Judka niedzielę i wtorek, to jest dni, w które w
okolicy żadnego
jarmarku nie było.
Dla czego Judka dzielił interesantów na dwie połowy: na
ruchomość i
nieruchomość? skąd mu taki koncept przyszedł do głowy? —
należy koniecznie
wyjaśnić.
Ruchomością była ta szlachta, która się w potrzebie do Judki
sama zgłaszała;

nieruchomością ci, do których Judka fatygować się musiał; z
pierwszymi
transakcje załatwiał u siebie w domu, do drugich z własnej
woli, lub na wezwanie
jeździł. W nazwie tej było przeto nieco subiektywnego sądu.
Właściwie, w
pierwszym wypadku, sam Judka był nieruchomością, w
drugim zaś następowała
metamorfoza w ruchomość, lecz Judka wolał tym epitetem,
przenicowanym na wywrót,
obdarzyć swych kundmanów, i nikt mu tego zabro-

nić nie miał prawa. I w samym nawet interesie była kapka
niesprawiedliwości.
Kiedy bowiem ruchomość, ludzie grzeczni, sarni nieraz po
psiej drodze
przyjeżdżali w niedzielę do Judki, to on był twardy i nieraz
mu pieniędzy
brakowało da interesu. Przeciwnie, z nieruchomością nigdy
tego zdarzenia nie
było. Choć kości natrząsł, zmarzył lub przemókł, — i humor
miał dobry, i grosz na
zawołanie gotowy, a mowę przy interesie słodką jak miód.
Judka wiedział co robi, i czasem, gwarząc przy rodzynkowem
winie, dla nauki
młodszego pokolenia, zwierzał się ze swego postępowania w
ten sposób:
— Z pierwszych — mawiał — mam nawet i zysku więcej,
lecz czasem się trafi
omyłka, brzydki podpis, niewyraźny kontrakt; czasem
spadnięcie z hypoteki. Takie

wypadki siedzą w mojej pamięci, jak gwóźdź w ścianie, jak
tłusta plama na
czystym suknie interesu, co ją zawsze widać. Człowiek, gdy
zobaczy taką plamę,
zaraz mu w pamięci staje całe zdarzenie, cały feler! On jest
zły! Trzeba go
ułagodzić,

trzeba w wesele wprowadzić... a jak? co może kupca w dobry
humor wprowadzić?

Zysk, gruby zysk! Jak jego niema, to plamę ciągle widać.

Co do drugich — rozumował Judka — jest całkiem inna
okoliczność, cały wańtuch

odmiany. Zysk mniejszy, ale bez kosztów, bez turbacyi, bez
pana komornika! A

jest i honor! Gdy kupiec robi interes na pięćset par oziminy,
gdy daje na prosty

rewers kilka tysięcy rubli czystego grosza, lub na % na
hypotekę — jest w tem

kawałek honoru, szczypta wygody, kapka grzeczności, jest
ładnie. Ale i ten honor

nie jest bez korzyści, on nie jest pusty...

Wygodzie grzecznie jednemu szlachcicowi powie drugiemu,
trzeciemu, tuzinowi

szlachty. Wiadomość rozchodzi się w tamtym świecie, i
powoli wszystkie dobre

geszefty, choć z małym zyskiem, cisną się do kieszeni, aż się
zrobi pełno...

— Tak! i honor niepotrzebuje być wydrażony, on jest
nadziany, jak faszerowany

szczupak interesami — mawiał Judka.

Do interesantów drugiej kategorii wyjeżdżał kapitalista z Bydłatkowa wła-

snym ekwipażem, resorową, na licytacji kupioną bryczką, zaprzężoną w siwą hrzeczkowatą kobyłę, co wtorek. W ten dzień, swobodny od jarmarcznych zajęć, puszczał się Judka, jak zapisał, między szlachtę po okolicy. Od lat kilkunastu robił to co tydzień, przez co i bez kalendarza wiedziano, że gdy Judka siwą jedzie (na jarmarki przysiadał się na furmankę), to jest wtorek. Żadnej pod tym względem omyłki być nie mogło. To też wszystkich stałych mieszkańców Bydłatkowa ogarnęło zdziwienie, gdy jednej środy podczas największego ruchu, z bramy zajazdu wytoczyła się znana wszystkim bryczka Judki Pomeranca, i on sam we własnej osobie, przyodziany w biały kitel, wyjechał z miasta... Gdyby główny los na saską loteryę padł w Bydłatkowie, nie byłby większego zamieszania wywołał! Co się stało? Wszyscy koszerni mieszkańcy Bydłatkowa byli środowym wyjazdem Judki niezmiernie zaciekawieni. Biegając między chłopskimi furami, chałatowe osobniki zaczęły się skupiać w gromadki, szwargotać, radzić.

— A siehst du! ist gefahren, Mittwoch! — komunikowano sobie wzajemnie.

Ciekawość z każdą chwilą wzrastała, aż nareszcie kilku śmielszych udało się do sklepu korzennego, z chęcią wywiedzenia się czegoś pewniejszego od pani Ryfki.

Pani Ryfka, choć dobrze wiedziała, że w kupieckim interesie potrzebny jest

kawałek sekretu, nie mogła wytrzymać (taka to już kobieca natura!) i wygadała

się, że Judka odebrał pilny list od dziedzica z Jesionki, że wziął z sobą pięć

tysięcy rubli i nawet bez obiadu pojechał.

Tym razem gadatliwość małżonki nie zaszkodziła interesowi męża, gdyż nikt mu w

drogę ani chciał, ani mógł wchodzić, a zaspokoila ciekawość ogólną.

Wśród kupczącej rzeszy szybko rozniosła się wieść o liście, o pięciu tysiącach

rubli. Komentowano ją na swój sposób, powtarzając na głosy: "A fünf tausend

Rübel!... a Brief von Jesionka!... a grojsses Geszeft!" — złych zamiarów jednak

nikt nie miał.

Z Bydlątkowa do Jesionki nie było całej mili. Siwa wypoczęła przez cały ty-

dzień, więc mimo staropanieńskich wiosen, dość żwawo przebierała nogami po

przypiaskowej drodze. Judka palił fajkę, kiedy niekiedy
cmokał i śmigał batem,
zachęcając kobyłę do szybszego ruchu, i rozmyślał nad tem,
na co właściwie
szlachcic z Jesionki mógł takiej dużej sumy potrzebować?
— Fünf tausend Rübél! — mrucał — na co jemu tyle?
Różne myśli przychodziły mu do głowy, lecz każdą z nich
odrzucał po małej
chwilce rozwagi.
Dziedzic Jesionki, choć gotowego grosza nie miał, stał dobrze,
zboża na
"zielono" nie zwykł był sprzedawać, długów hipotecznych,
ani kieszonkowych nie
miał. Należał on do najrarytniejszych nieruchomości Judki.
Zboże sprzedał... co
do godziny w terminie oddał. A jakie doczyszczzone, na mace!
Na "słowo" można
było u niego i dwieście par kupić. Mogło iść później zboże w
górze, choćby o dwa
ruble na korcu... i brwi nie zmarszczył, żadnej dopłaty nie
zażądał; nie tak jak
drugi, co zaraz kupcowi zarobku zazdrości,

jego szczęściem chce się dzielić... Sprzedał, to sprzeda!! Taki
tantny charakter
miał.

Judka z panem z Jesionki nie od dziś handlował. Całą prawie
krestencyę i wełnę
zakupował, nigdy jednak wcześniej, niż około Nowego Roku.
Ale przed świętym
Janem, kto słyszał?

— To traf! to bardzo rzadki traf! — powtarzał w duchu kapitalista, nadaremnie starając się przeniknąć przyczynę.

Poważne myśli bardzo skrócają drogę; Ani się spostrzegł Judka, jak w niespełna godzinę zajechał pod jesionowskie stodoły. Tam zawsze swój ekwipaż lokował.

Dostrzeżono go we dworze, i sam dziedzic wyszedł naprzeciwko ku bramie.

— A kochany panie Judka! — zawołał na wstępie do kłaniającego się uniżenie kupca

— dziękuję ci serdecznie, że na moje żądanie przyjechałeś, a w dodatku dziś,

kiedy to u was jarmark...

— Wielka rzecz! Ja zawsze do usług wielmożnego pana, choćby w nocy!

— No, chodźmy do dworu! — mówił dalej szlachcic — tam swobodnie pogada-

my... Pewnie jesteś ciekawy, na co ja tyle pieniędzy potrzebuję? he? No, przyznaj się?

— To się wie, wielmożny panie! choć co to ma do interesu.

Dla pana dobrodzieja

czy w lecie, czy w zimie, pieniądze zawsze muszą być? Jedno słówko... i dość!

Czy ja to od dziś z wielmożnym panem handluję?

Tak rozmawiając, doszli do dworu. Szlachcic usiadł w ganku, kupiec z

uszanowaniem przystanął opodal.

— Siadaj, siadaj, panie Judka... musimy dłużej porozmawiać.

Judka skłonił się za taką delikatność i grzecznie usadowił swoją osobę na ławce.

— Może zapalisz cygaro?

— jeżeli łaska pana dobrodzieja.

Szlachcic podał cygaro; żyd znowu unizony oddał pokłon.

— Otóż mówiąc krótko, mój łaskawco — rozpoczął po małej przerwie dziedzić

Jesionki — wydaję córkę za mąż... no i potrzebuję pieniędzy.

Mojej Zuzi trafił

się porządny człowiek... pokochali się... Szczęść Boże!

— Szczęść Boże! Szczęść Panie Boże! — dorzucił ze swej strony Judka.

— Jak wiesz, gotówki nie mam, — kontynuował pan domu — a tu wyprawa, wesele...

rozumiesz? Posagu teraz dawać nie potrzebuję, ale zawsze będą wydatki, kilka

tysięcy rubli... Otóż myślę, że mi w tym wypadku wygodzisz.

Zboża na pniu

sprzedawać nie chcę, bo dyabeł tam wie, jakie będą ceny!

Hypoteki mazać także

nie miałbym ochoty. Chybabyś mi na zwykły rewers

pożyczył?

— Na co kwit? na co rewers? u mnie słowo wielmożnego

pana znaczy więcej, niż akt

rejentalny. O jej! choć cały majątek dam!

— Tak się to gada, panie Judka... śmiertelni jesteśmy... Lecz mówiąc na seryo,

jakiż procent będziesz liczył.

— Procent! zaraz procent! No, dziesięć procent! szlachecki procent, jakem żyd

urodzony!

— Zgoda. Pieniądze masz?

Judka wydobyl skórzany zatłuszczony pugilares.

— W takim razie napiszę rewers. Spłcę ci w dwóch ratach.

— Wielmożny panie! ja co powiem — przerwał Judka. —

Zrobimy tak: Ja panu pięć

tysięcy rubli dam, dziesięć procent wezmę, ale po co mam
pieniędzmi odbierać? Co

za gwałt? Pan dobrodziej mi sprzeda na pierwszą ratę pszenicy
lub wełnę bez

ceny... Co będą płacić, zapłcę.

— Zgoda i na to — rzekł po namyśle szlachcic — a teraz
porachujmy się...

Już miano się zabrać do utrwalenia na piśmie przed chwilą
ugodzonych warunków,

gdy na ganek wbiegło szesnastoletnie, jasnowłose dziewczę i z
okrzykiem:

"Tatusiu! tatusiu! patrz!" — rzuciło się szlachcicowi na szyję.

— Patrz! ojczulku! i mnie i Zuzię opisali...

— Gdzie? co? ty trzpiocie! Nie przeszkadzaj nam moja Basiu,
nie mam czasu! —

tłumaczył, udając gniew, stary szlachcic.

— Ależ tateńku! pan Judka poczeka, prawda? — rzekła
rozochociona dziewczyna,

zwracając się do kapitalisty — prawda?...

I nie czekając na odpowiedź, podsunęła pod oczy ojca numer
Tygodnika

Ilustrowanego..

— Patrz! czytaj! — mówiła, wskazując różowym paluszkiem odpowiedzi grafologa. —

Miesiąc cały czekałyśmy na to z Zuzią. A otóż i ona!

Na progu ukazała się druga córka pana domu, smagła brunetka, ta właśnie, na

której wesele Judka pieniędzy pożyczył.

— To przeczytajże już sama. Przepraszam cię, panie Judka, ale widzisz z temi

dziewczętami to tak zawsze. No, czytajże już, trzpiocie!

Basia starała się przybrać poważną minkę, figlarne jednak oczęta mówiły co

innego.

— Tylko proszę panów nie śmiać się. Zaczynam:

"Stokrotce. Charakter trzpiotowatym serce złote, dziewczę z buzią jak malina,

ale kozaczek." To o mnie.

Szlachcic śmiał się do rozpuku.

— A teraz o Zuzi:

"Czatnej róży. Usposobienie melan-

cholinne, umysł skłonny do rozmyślań, stałość charakteru, anielskie serce."

— A to trafił! to trafił! niechże go! — zaśmiał się ojciec.

— Co to z przeproszeniem jest? — zapytał zaciekawiony kapitalista.

— Odpowiedzi od grafologa. Widzi pan kupiec — tłumaczyła trzpiot Basia — w

Warszawie są tacy panowie, co dość do nich list wysłać bez podpisu, a oni nie

znając osoby, z charakteru pisma z liter odgadną, czy osoba jest dobra, czy zła, wesoła, czy smutna, czy lubi śmiać się, jak ja, czy dumać, jak Zuzia...

— Jak się oni nazywają? — zapytał kapitalista.

— Gra-fo-lo-go-wie! — objaśniło z uśmiechem dziewczę.

— To i ja jestem taki grafolog! Na sumienie! niech się panienska nie śmieje! To nie taki wielki interes. I ja z pisma poznam, co kto wart! Na sumienie!

Dziewczęta zanosły się od śmiechu.

— A w jakież to sposób, mój Judko? — wtrącił rozweselony pan domu.

— Zaraz wielmożnym państwu opowiem. Z nas kupców każdy prawie potrzebuje mieć z pismem do czynienia. Czy kontrakt, czy rewers, czy akt rejentalny to wszystko pismo. Mnie, chwalić Pana Boga! tego towaru nie brakuje, a źleby było, żeby się na towarze nie znać. Pismo pismu nierówne, jak nie przymierzając ziarno ziarnu.

Jest pszenica porosła ze śniecią... co ona warta? Jest druga, jak wybierana,

choć na mace zdatna. Tak i z pismem: na różne pisania jest różna cena, a kupiec o tem musi wiedzieć, powinien znać różny gatunek...

— A to ciekawa historia! Gadaj-no dalej, mój panie Judka! — wtrącił pan domu.

— Są różne gatunki, różne sorty, jeden ma taki charakter nieczytelny, taki

niewyraźny podpis, co za jego kontrakt lub rewers trudno i grosza dać. Takie pismo potrzebuje być wyraźniej pisane. Czasem wystarczy, jak się znajdzie drugi solidarny podpis mamy, jeśli on ma mamę z dożywociem, czasem żony z intercyza... jak kiedy! Są i takie gatunki kontraktów,

co im nawet solidarny podpis nie pomoże. Trzeba, żeby je rejent przepisał na stemplu, jak prawo chce, wtedy je dopiero kupiec czytać może; a jeszcze inne, najlichszy sort, co muszą być pisane na dwie ręce u rejenta i w hypotece z zastrzeżeniem... O iej! ile już takich widziałem! Ojciec z córkami zanosili się od śmiechu. — Czasem — wyklada! dalej kapitalista — jest podpis, co mu żadne przepisanie nie pomoże. Trzeba znać! trzeba się lepiej znać, niż ten pan z Warszawy! Jak on się nazywa? Gra... — Grafolog! — Grafolog! niż ten grafolog na sumienie! — A czy cię, panie Judka, twoja znajomość pisma nigdy nie zawiodła? — spytał szlachcic. — Nigdy jak nigdy, ale bardzo rzadko. Raz tylko jeden miałem paskudną omyłkę. Wielmożny pan pamięta tego młodego pana Zyzia z Rudki? On tak sobie ładnie

jeździł, a mówili, co się bogato żeni. Będzie temu dwa lata, zajechał do

mnie w cztery konie i mówi, że chce sprzedać pszenicę, bo potrzebuje tysiąc rubli zaraz. On opowiadał, że musi dać składkę na kościół, bo rodzina jego narzeczonej bardzo nabożna, że jemu wypada dać dużo, bo jest kolektor...

— Chyba kolator! — przerwała Basia.

— Wszystko jedno! kolektor, czy kolator, on i tak nie zapłaci, a jego kontrakt —

tu Judka pokazał kieszeń — dotąd tutaj siedzi. Paskudnik! a jak ładnie mówił,

jak podpisywał... To była omyłka, gruba omyłka, bo jemu panny nie dali, już był

bankrut, i za moje pieniądze potrzebował wyjechać i nie wrócić...

— A mój podpis dobry? — zagadnął półzartem pan domu.

— Co to wielmożny pan żartuje? Po co pytać! Choć dziś... jedno słówko i

pieniądze są... A to ta panienska idzie za męża? — spytał, wskazując Zuzię. —

Powinszować!

Dziewczę zarumienione wybiegło z pokoju...

— Tak jest, panie Pomeraniec! — w imieniu siostry odpowiedziała Basia.

— Każ-że nam podać herbaty, — przerwał, zwracając się do córki, ojciec — bo

Judka głodny, to gotów jeszcze pieniędzy na wyprawę dla Zuzi nie pożyczyć.

— Wolne żarty pana dobrodzieja! — zaproponował żyd.

— A na moje wesele, czy pan kupiec pożyczy pieniędzy? — spytało, zbliżywszy się do kapitalisty, figlarne dziewczę.

— O jej! niechno tylko będzie kawaler... O jej dam!